

Na dworze gęstnieje mrok i krzepnie temperatura, co trochę zakłuje w czasie tej najłagodniejszej z zim. W małej izbie, przy płonącym kominku, na którym powoli „dochodzi” woda w obszernych garnkach, z każdą chwilą gęstnieje tłumek. Niebawem jest już tak tłoczno, że widać na zewnątrz poprzyklejane do okiennych szybek nosy tych, którzy już nie mogli się wcisnąć. Ale to etap przejściowy. Czas na wyciszenie, zastanowienie, zadumanie. Gdzieś za nami pozostał zaganiany dzień, brudne miasto, zdenerwowani, byle głupstwem ludzie.

Za ścianami domostwa — starego gospodarczego zabudowania — drzemie las. Tamtędy wiodła droga. Nie jest to bowiem zwykłe, zrutynizowane „pójście do teatru”. Stroje wizytowe niezupełnie wskazane. A wręcz przeciwnie, bardzo przydaje się gruby sweter, jeden, drugi i porządne, ciepłe buty, bo od drzwi „ciągnie”. Samochody, bo czymś przecież trzeba tu dotrzeć, zostawia się na podwórzu zaprzyjaźnionego gospodarstwa, tuż przy wejściu do lasu. Tym samym odrywamy się niejako od cywilizowanych udogodnień. Las staje się swoistymi kuluarami tego szczególnego teatru. Kiedy idzie się tędy pierwszy raz, a jeszcze tuż przed zmierzchem, pachnie to prawie niespodzianką, niezwykłością, czymś nieoczekiwanym.

A teraz ta ciasna izba, płonący kominek, zgromadzeni wokół niego ludzie, przeważnie obcy. Chyba już w tej chwili zaczyna się jakaś część oczekiwanego spektaklu. Jest to odpowiednik momentu, kiedy w profesjonalnym teatrze rozlegają się dzwonki, zamierają światła na widowni, a ożywają te na scenie i gwałtownie, a przez to nienaturalnie uciszają się ludzie, przymuszając do uspokojenia kaszlu, stłumienia nawet oddechu. Tu wszystko odbywa się inaczej,

Teatr pod strzechą

zwyczajnie, na miarę znajomości ludzkich odczuć. Dlatego niepotrzebny jest dzwonek, narzucający konieczność natychmiastowego zachowania spokoju. W Węgajtach spokój przychodzi do widza sam, niepostrzeżenie.

Spokój jest jednym z elementów nastroju, jakie budują animatorzy, mającego nastąpić czy już nawet rozgrywającego się spektaklu. Bo czy ważne, a właściwie na ile jest ważne późniejsze, gromadne przejście do drugiego, znacznie obszerniejszego pomieszczenia, pachnącego starym drewnem, gdzie jest ciepło, przytulnie, gdzie rozsiadamy się już znacznie luźniej.

Spektakl oparty na tekście Stanisława Vincenza jest tylko fragmentem zaaranżowanego wieczoru, na który składają się inne elementy. Owo przejście przez las, posiadę przy ogniu, czytanie białoruskiej poezji, oglądanie przedziwnie smakujących w naturalnym świetle naftowych lamp rysunków młodego człowieka. Ale to już później, bo zatrzymajmy się jeszcze przy samym widowisku. Czy można dokonywać tu jakichkolwiek analiz, posługując się kryteriami stosownymi do zrutynizowanych zawodowych scen?

Na upartej można, ale nie miałoby to większego sensu. W Węgajtowskim Teatrze jest miejsce na specyficzne aktorstwo, w którym wypada miejscami podziwiać niemal akrobatyczne zdolności jednej z protagonistek. Jest urokliwa muzyka, pięknie zaśpiewana przez aktorów i ich przyjaciół. Jest wysmakowana sceneria naturalnego wnętrza. Jest także tekst Vincenza. I nieważne, jakim to trąci folklorem:

huculskim, żydowskim. Ważne jest to, co się z tego zapamiętuje, co zapada w duszę. Tupot stóp o drewnianą podłogę, trzask ognia, zapach drzewa, dźwięki cymbałów, harmonii i nagle koniec. Aktorzy wybiegają z sali i słyszymy ich głosy na zewnątrz. Jest to wezwanie dla publiczności.

Wylegamy nieźbornie, ociągając się, bo ziąb na dworze. I szok. Nad nami wyraziście rozgwieżdżone niebo, a z kępy sosen nie opodal ległym pagórkowi rozlega się śpiew zamykający ten niezwykle spektakl, kończący się tysiącem ech, pomykających w wszechświat leśno-gwiaździsty. Rześkie powietrze po dłuższej chwili zapędza nas z powrotem do środka, do kominka, do buzującego ognia, do gorącej herbaty pitej z blaszanych kubków. I to jest chyba dalszy ciąg małego misterium, jednoczącego ludzi tak bardzo obecnie pozamykanych w sobie. To, co robi Teatr Węgajty, jest zjawiskiem z pogranicza sztuki i psychoterapii. Nie dziwię się już, że dla swych wypowiedzi szukają szczególnej przestrzeni, nie zakończonej pseudonowoczesnością. Estetyka tego Teatru kłóci się ze sztuczną wykładziną, pluszem, blaskiem świetlówek, a za to cudownie współistnieje z tym, co zwykle i bliskie człowiekowi w sensie psychicznym i fizycznym. Rozgwieżdżonego nieba nie jest w stanie zastąpić najozdobniejszy plafon, zwieńczony kryształowym świecznikiem.

Działania grupki ludzi z kręgu animatorów Teatru Węgajty, zmierzają nie tylko do chwilowego estetycznego nasycenia widza, lecz do jego otwarcia na wszystko, co warte jest obejrzenia w naszym świecie, a czego często już nawet nie dostrzegamy.

BOŻENA ULEWICZ